

Zaufać wbrew nadziei

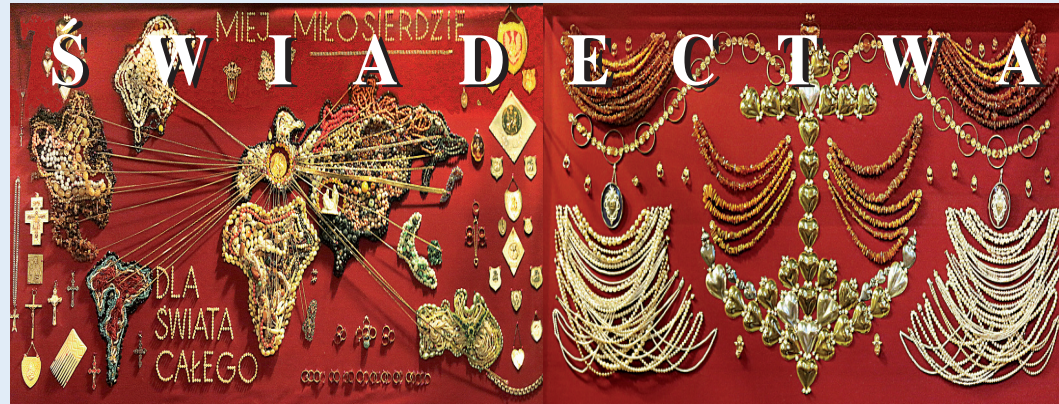
Pragnę podzielić się świadectwem, że słowa Pana Jezusa skierowane do nas (usłyszane w głębi naszej duszy) mają moc i zostaną wypełnione.

Po nagłej śmierci męża zostałam w wieku 45 lat wdową z dwójką dzieci. Córka miała 16 lat, a syn – 11 lat. Mieszkała z nami teściowa, która po kilku miesiącach od śmierci jedyne go syna również odeszła do Boga. Pozostałam sama z dorastającymi dziećmi, mając na utrzymaniu nas i dom. Było to kilka lat temu. W tamtym czasie zarobki z mojej pracy plus niewysoka renta rodzinna po zmarłym mężu i wsparcie finansowe mojej mamy zapewniały nam godne życie.

Bardziej wtedy obawiałam się nie trudności związanych z płatnościami, ale trudności wychowawczych z dziećmi (pomiędzy nimi bardzo często dochodziło do konfliktów), które po traumie związanej ze śmiercią najbliższych osób przechodziły w niełatwy czas dojrzewania. Bałam się też, czy poradzę sobie organizacyjnie, gdyż teraz wszystko było na mojej głowie. Niepokój był tym większy, że z natury jestem osobą niezaradną życiowo, nie przebojową, lubiącą zamartwiać się na wyrost. Jakby tego było mało, również i sił fizycznych nie mam za wiele.

Pewnego dnia mama – kobieta bardzo religijna i wiele od siebie wymagająca w tej sferze (przez 30 lat nie opuściła ani jednej codziennej Mszy św.) – przekazała mi słowa, które idąc na Mszę św. do kościoła, powiedział jej wewnętrzny głos, a dotyczyły mnie – jej córki. Mówiły one, że nie będę pozbawiona opieki i muszę zaufać wbrew nadziei. Te właśnie słowa, którym zaufałam, od początku stały się moją opoką w późniejszych trudnych doświadczeniach. Czułam, że Pan tak poukłada okoliczności, że wszystko dobrze się zakończy.

Niebawem odnowiłam znajomość z dużo starszym kolegą, poznanym jeszcze w dzieciństwie, aby rozpocząć z nim współpracę zawodową. Nic innego wówczas nie przemknęło mi nawet przez myśl. Człowiek ten okazał się jednak darem Niebios w dalszych moich perturbacjach życiowych i niełatwej codzienności. Pomagał mi załatwiać różne sprawy, doradzał, woził, gdzie trzeba było (nie mam prawa jazdy), opiekował się mną, pocieszał, ale także spra-



wiał różne przyjemności. Zauważyłam, że był narzędziem w rękę Boga, aby mnie wspierać. Bez jego pomocy byłoby mi o wiele trudniej i bardziej smutno. Znalazłam w nim duże wsparcie i poczułam się bezpieczniej. Bliskiej rodziny nie mam, gdyż jestem jedynaczką (zmarły mąż też nie miał rodzeństwa), a dla dalszej rodziny, która sama boryka się ze swoimi sprawami i problemami, nie chciałam być ciężarem. Zaś mama – starsza osoba – mieszkała wówczas w innym mieście.

Najpierw rozpoczęły się moje problemy zdrowotne i wizyty u lekarzy. Potem choroba córki, która będąc w liceum wzorową uczennicą, dziewczyną rezolutną i towarzyską, doznała tak silnej depresji, że bała się sama wyjść na ulicę czy nawet zostać w domu. Często zabierałam ją ze sobą do pracy. Podjęliśmy leczenie psychiatryczne. Mimo upływającego czasu, leki nie pomagały. Było tylko gorzej. Doszły myśli samobójcze. Było to w okresie wakacyjnym przed klasą maturalną. W tym udręczeniu nie byłam jednak sama. Miałam wsparcie kolegi i wierzyłam w „przekaz” od Boga. Gdy jednak najmniejszej poprawy nie było, pojawiło się ludzkie zwątpienie. Zaczęłam, za namową lekarza, organizować córce pobyt w szpitalu na oddziale psychiatrycznym z możliwością podjęcia tam nauki. Było to ostatniego dnia wakacji. Po tych wszystkich załatwianych położyłam się, umęczona, by trochę odpocząć. Zaczęłam się zastanawiać, jak ta sytuacja ma się do słów, że mam zaufać wbrew nadziei.

Nie minęło dużo czasu, gdy do pokoju weszła córka i stwierdziła, że następnego dnia idzie do swojej szkoły na rozpoczęcie roku szkolnego

i dziwi się, dlaczego wcześniej nie czuła się na siłach. To był cud! Poprosiła, bym wyprasowała jej sukienkę na szkolną akademię. Nie da się wyrazić słowami, z jaką radością to zrobiłam.

Rok szkolny rozpoczął się szczęśliwie. Córka bardzo dobrze zdała maturę i wyjechała do innego miasta, by studiować wybrany przez siebie kierunek. Wszystko wróciło do normy. Wypełniły się słowa, że mam zaufać wbrew nadziei, bo po ludzku to, co się stało, jest niewytłumaczalne.

Jeszcze wielokrotnie doświadczyłam mocy tych słów Pana, mając duże problemy w szkole z synem, dalsze kłopoty zdrowotne i pobyty w szpitalu, chorobę mamy i zawirowania w mojej pracy. Ze wszystkich tych bardzo trudnych przeżyć życiowych wyszłam ocalona, tak jak Jezus przekazał, bo słowa Pana nie zawodzą. Wypełniają się w całej rozciągłości. Naszym zadaniem jest otworzyć się na nie i zaufać bezgranicznie. Jezus, ufam Tobie!

Ewa z Lublina

Urodziła się Faustynka

Moja przygoda z miłosierdziem Bożym rozpoczęła się, kiedy byłam uczennicą liceum sióstr niepokalanek w Wałbrzychu. Wówczas nauczyłam się Koronki i poznałam trochę Siostrę Faustynę. Poczułam się wtedy jak ryba w wodzie, stwierdziłam, że to coś dla mnie. W 1985 roku wraz z siostrami i naszymi rodzicami obchodziliśmy w naszej kaplicy święto Miłosierdzia Bożego w pierwszą niedzielę po Wielkanocy. Najpierw odbyła się uroczysta Msza Święta, potem montaż słowno-mu-

zyzny o Siostrze Faustynie i Miłosierdziu Bożym, a później uroczysty obiad z deserem, na który cukier zbierałyśmy, wyrzekając się słodkiej herbaty przez cały Wielki Post, gdyż wtedy cukier był na kartki. Potem nasz kapelan powiedział, że działały się wielkie rzeczy; słuchał spowiedzi penitentów, którzy nie byli trzydzieści lat przy kratkach konfesjonału.

Po zdaniu matury losy rzuciły mnie do spółdzielni dla niewidomych, gdyż jestem osobą niewidomą, gdzie poznałam mojego również niewidomego przyszłego męża. Pierwsze, co robiłam, to opowiedziałam mu o Siostrze Faustynie i o Koronce i nauczyłam jej go. Po zawarciu związku małżeńskiego urodziło nam się dwóch chłopców i nie planowaliśmy już więcej dzieci. Tymczasem Pan Bóg miał wobec nas inne plany. W 1997 roku stwierdziłam, że spodziewamy się kolejnego dziecka. Sytuacja nie była łatwa, bo mąż wówczas pracował 20 kilometrów od miejsca zamieszkania i przeraziło mnie to, że na dziesięć godzin dziennie będę zostawała sama z trojgiem małych dzieci. Słyszeliśmy wiele niepoehlebnych opinii na nasz temat. Ludzie z wielką złością mówili, że zachciało nam się trzeciego dziecka. Jedynie rodzina męża, zresztą wielodzietna, dawała nam odczuć swoje wsparcie w listach, bo telefonu tam nie było. W takiej sytuacji bardzo gorąco modliliśmy się o wytrwanie i o dziewczynkę. Codziennie chłopcy z mężem modlili się za mnie i dzidziusia. Gdy Papież był w Łagiewnikach, z wielką wiarą prosiłam na kolanach: Faustyno, biegnij do Pana i proś, bym urodziła dziewczynkę, a ja dam jej na imię Faustyna. W noc poprzedzającą usg prosiłam, żeby Bóg dał mi poznać, kto mieszka pod moim sercem. We śnie usłyszałam głos kobiety, ale przecież nie widziałam postaci, bo my niewidomi śnimy głosy: *Będiesz miała dziewczynkę.* I tak też się stało. Usg potwierdziło tylko to, o czym już wiedziałam. Pod moim sercem żyła Faustynka. Wtedy moje kroki szybko skierowałam do kościoła, by za nią dziękować. Córeczka urodziła się szczęśliwie. Teraz jest to już dorosła dziewczyna, a my trwamy w dziękczynieniu za nasze małżeństwo, które ma już trzydzieści jeden lat, za co Bogu niech będą dzięki.

Wioletta